MURZYNEK

Październik 1937

Rok XXV Nr. 10



Boga

nam dajcie!

MURZYNEK

katolickie, ilustrowane pisemko misyjne dla dzieci i młodzieży, wydaje w różnych językach

SODALICJA Św. PIOTRA KLAWERA

Krosno, woj. lwowskie.

Prenumerata roczna 1.20 zł.

....

....

Prenumeraty i ofiary

przesyłać można pod następującymi adresami:

Sodalicja Klawieriańska, Warszawa I, ul. Warecka 10, m. 4. — *Kraków*, ul. św. Marka 25. — *Poznań*, ul. św. Józefa 9, m. 5. — *Krosno* (woj. lw.) — — *Lwów*, p. K. Froniówna, ul. Edwarda Jelinka 11a. — *Częstochowa*, al. Najśw. Maryi Panny 79. — *Gniezno*, p. Anna Potulna, ul. Mieczysława 1. — — *Kielce*, p. M. Kasperska, ul. Śniadeckich 1, m. 8. *Bielsko*, ul. Piłsudskiego 7. — *Ostrów* Pozn., p. Roman Spychałowicz, ul. Starokaliska 9. — *Łowicz*, pan Marian Tarczyński, ul. Kościuszki 17. — *Wrocław*, Hirschstrasse 33.

Numer konta P. K. O.: Warszawa 1.188 — Kraków 142.248 — Poznań 200.015 — Wilno 80.954 — Krosno 411.222.



Teraz i w godzinę śmierci naszej

O. *Bierfert,* oblat Niepokalanego Pocz. N. M. P., misjonarz z nad Okawango.

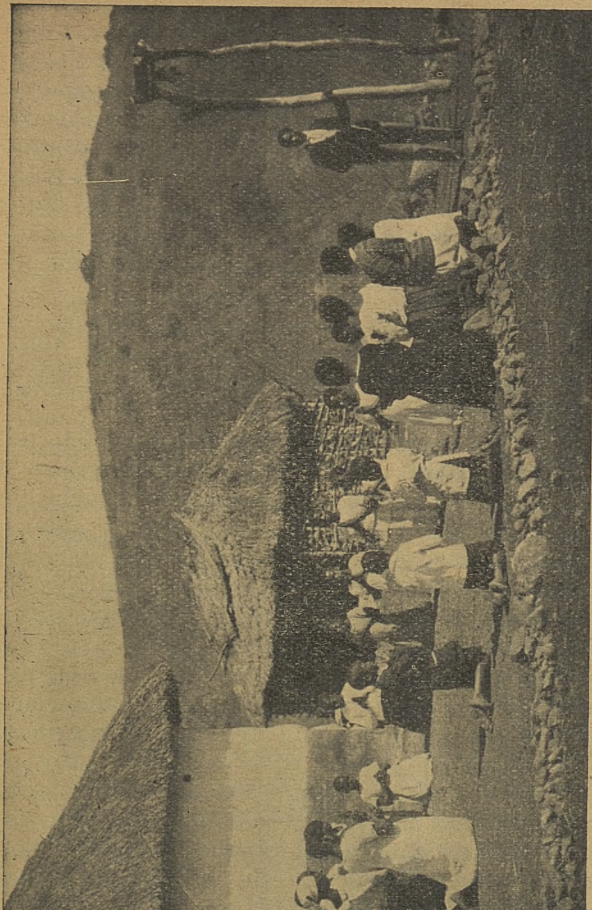
Namutenja była to mała Buszmenka, o której wam dziś opowiem. Buszmeni żyją zazwyczaj w lasach, ale mała Namutenja mieszkała z matką w wiosce murzyńskiej. Miałem pewnego razu sposobność przekonać się o pobożności tej milutkiej dzieweczki.

W lipcu czy też w sierpniu 1935 r. panowała u nas grypa. Chodząc co dzień do chorych, zabierałem dla nich zawsze trochę cukru w kostkach. Z początku zostawało mi zwykle parę kawałeczków w kieszeni. Rozdzielałem je potem między dzieci. Gdy jednak ilość chorych wzrosła, pewnego razu cukru dla dzieci nie starczyło. Dzieci były bardzo zdziwione, że nic dla nich nie mam, i gdy chciałem odejść, zaczęły płakać. Pocieszałem je obietnicą, że nazajutrz nie zapomnę o nich i zaopatrzę kieszeń w większy zapas cukru. Większość uspokoiła się tym przyrzeczeniem. Cztery tylko ze starszych dziewczy-

nek oświadczyły, że wolą iść zaraz ze mną po obiecane kostki. Perswadowałem im, że to za daleko na ich nóżki, że się zmęczą, a z powrotem gotowe zabłądzić: „O, my nie zabłądzimy, odparły pewne siebie, zaczekamy na rodzeństwo, które jest w szkole i potem razem wrócimy do domu.“

Ustąpiłem i ruszyliśmy w drogę. Trzy z moich towarzyszek były chrześcijankami, czwarta była to właśnie owa Namutenja dotąd nie ochrzczona. Nie miały więcej nad 4—5 lat. Opowiadając wciąż o słodkich kostkach, które sobie przyniosą, przebierały żwawo nóżkami.

Nadeszło południe. Jak tylko odezwał się dzwon na Anioł Pański, idące za mną dzieci ucichły odrazu. Zaczęły się modlić. Czyby te maleństwa, pomyślałem sobie, rozumiały już znaczenie tego pobożnego zwyczaju, czy może tylko udają, że się modlą? Odwróciłem się i zacząłem nadsłuchiwać pilnie, co one też szepcą. Ze zdumieniem przekonałem się, że naprawdę odmawiały „Anioł Pański“! Najwięcej uderzyła mnie ich pobożna postawa. Rączki miały ślicznie złożone, oczęta spuszczone i takie były skupione, że mnie wcale, zdaje się, nie widziały, bo idąca na przedzie dziewczynka stanęła dopiero, gdy o mnie się otarła. Ale i wtedy nie przestały się modlić. Zauważyłem, że jeszcze dobrze słów modlitwy nie umiały. Najważniejszym zresztą było to, że czyniły to tak pobożnie. Widok małej Namutenji zwłaszcza był wzruszający. Została biedaczka trochę w tyle, bo wbił się jej w nóżkę jakiś kolec. Zamiast go wyjąć zaraz, szła dalej kulejąc i popłakując, ale mimo to modliła się jeszcze i rączki trzymała tak ślicznie



Na „Anioł Pański".

złożone jak jej małe towarzyszki. Patrząc na tę wzruszającą procesję, pytałem sam siebie, gdzie też te maleństwa nauczyły się tej modlitwy. W szkole przecież nie, bo nie chodziły jeszcze do szkoły: były za małe i za słabe wskutek nędznego odżywiania. Więc chyba w domu od starszego rodzeństwa? Bo chrześcijanie nasi, a zwłaszcza dzieci szkolne, zawsze mówią Anioł Pański, gdy usłyszą głos dzwonu. Wyjąłem Namutenji kolec z nóżki i po krótkim odpoczynku poszliśmy dalej.

Gdyśmy przybyli do misji, sięgnąłem po puszkę z cukrem i obdzieliłem dziewczynki. Były bardzo uradowane. Do domu wróciły z rodzeństwem, gdy się skończyły lekcje.

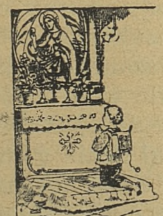
Może w dwa tygodnie potem, w niedzielę popołudniu, chciał Brat architekt pójść policzyć cegły, które wyrobiono w ostatnich dniach, ale dziwne jakieś wewnętrzne natchnienie skierowało go nad rzekę, choć w tej stronie nie miał nic do załatwienia. Zaledwie dotarł nad wodę, spostrzegł, że po drugiej stronie wychodzi z rzeki na brzeg matka Namutenji i zaczyna głośno płakać i lamentować. Brat zawołał na nią, pytając, co się stało. Nim zrozumiał jej odpowiedź zobaczył, że z wody wynurzyło się coś czarnego i wychyliła się jakby rączka dziecka, aby za chwilę zniknąć wśród fal. Brat domyślił się, że to Namutenja musiała wpaść do rzeki. Nie zastanawiając się, odrzucił kapelusz i jak stał skoczył w wodę. Udało mu się pochwycić tonące dziecko. Była to istotnie Namutenja. Widząc, że daje jeszcze znaki życia, ochrzcił ją czym prędzej. Na brzeg wyniósł martwe już ciałko.

Na krzyk nieszczęśliwej matki podpłynął je-

den z krajowców ze swoim czółnem i przywiózł ją na miejsce, gdzie Brat złożył Namutenję. Gdy ujrzała, że dziecko nie żyje, nie mogła się uspokoić. Dowiedzieliśmy się później, że rano przeprawiła się była z córeczką czółnem na drugi brzeg, aby nazbierać nieco ziół na wieczerzę. Gdy wracały, nie zastały czółna i próbowały przebyć rzekę w bród. Tymczasem wartki prąd uniósł dziecko.

Każdego roku rzeka zabiera ofiary w ludziach, którzy albo toną, albo stają się łupem krokodyli. Namutenja jest pierwszą, którą udało się jeszcze w ostatniej chwili ochrzcić. Sama ona, nie wiedząc o tym, wyjednała sobie tę łaskę, bo nic skuteczniej nie wyprasza szczęśliwej śmierci nad Pozdrowienie Anielskie. Matka Najświętsza wysłuchała jej modłów i wybłagała pobożnej dzieweczce ten chrzest cudowny w ostatniej godzinie.

Kończąc moje opowiadanie, proszę was, mili Czytelnicy, wszystkich gorąco: zmówcie codziennie jedno „Zdrowaś" za pogan, znajdujących się w niebezpieczeństwie życia, aby im Bóg za przyczyną Matki Najświętszej użyczył łaski chrztu św., jak małej Namutenji.



Franswa

S. *Rozelina* od Przenajdroższej Krwi.

Dokończenie.

Wreszcie znaleźliśmy się przed dużym domem i weszliśmy przez bramę na obszerny dziedziniec. Jeden z brodatych mężów zabrał mnie na górę do swego pokoju, dał mi pomarańczę i mówił do mnie bardzo mile. Jakże bym chętnie zjadł ofiarowany mi owoc, cóż kiedy strach przed śmiercią zanadto mnie dręczył. Następnie pokazał mi różne rzeczy, leżące na stole, jak książki, obrazki itp.. Wreszcie wyciągnął z kieszeni scyzoryk, chcąc mi pokazać, jak się ostrza wysuwa. Ale ja byłem przekonany, że chce mnie zarżnąć. Łzy stanęły mi w oczach, zacząłem drżeć ze strachu. Wtem odwołano tego dziwnego człowieka i zostałem w pokoju sam. Błyskawicznie strzeliła mi do głowy myśl. Trzeba się ukryć! Wlazłem pod łóżko w sam kąt, zastawiłem się parą butów i — jak to dzieci — wierzyłem, że mnie nigdy nie znajdą. Wkrótce wrócił on czarny mąż, rozejrzał się po pokoju, a nie widząc nikogo, stanął we drzwiach przywołując, zdaje się, kogoś. Istotnie zjawił się niebawem młody czarny chłopak i teraz obaj rozpoczęli poszukiwanie. Usunęli buty i zobaczyli mnie skurczonego w kącie pod łóżkiem. Nie chciałem za nic w świecie wyjść sam z mojej kryjówki. Więc chłopak ów odsunął łóżko od ściany i wyciągnął mnie gwałtem. Potem zabrał mnie na dół i dał mi miskę ryżu. „Aha, pomyślałem, chcą mnie wpierw utuczyć. Nie będę nic jadł, a będę żył dłużej.“ Mimo wielkiego głodu i ślinki, jaka mi szła do ust, ledwie

tknąłem ryżu. Napiłem się tylko wody i zasnąłem.

Gdy się obudziłem, zobaczyłem całą gromadę czarnych chłopców, którzy się wesoło bawili. Były to dzieci szkolne, częścią z miasta, częścią też wykupieni niewolnicy. Między tymi ostatnimi był jeden, który znał moją mowę i mógł się ze mną rozmówić. Nowe życie zaczęło się teraz dla mnie. On to objaśnił mnie, że jestem u misjonarzy, którzy nie zjadają dzieci,



Katechista znajduje porzucone dziecko.

tylko je uczą i wychowują i nie obchodzą się z nimi jak z niewolnikami. Strach ustąpił i uspokoiłem się zupełnie. Zaraz też sięgnąłem po ryż, który jeszcze stał na swoim miejscu i zacząłem smacznie zajadać. Zaprowadził mnie potem do szkoły i niezadługo byłem w misji jak w domu. Nauczyłem się też służyć do mszy św., a że byłem jeszcze bardzo mały i nie mogłem sięgnąć do ołtarza, trzymałem mszał zawsze na głowie, póki mi go Ojciec sam nie odebrał i nie

położył, gdzie potrzeba. Ojca, pod którego łóżko wtenczas się skryłem, pokochałem najwięcej. Był to Ojciec Stefan, który zmarł w Zanzibarze w r. 1913 w bardzo podeszłym wieku, opłakiwany przez wszystkich. Prosiłem go, czybym też nie mógł zostać księdzem. Odpowiedział mi dobrotliwie: „Możesz spróbować".

Zaczął się tedy dla mnie nowy okres życia. Mogłem uczyć się łaciny, gry na harmonium i dużo innych pięknych rzeczy. Lubiono też mój śpiew solo, z czego byłem bardzo dumny. Po pięciu latach takich pracowitych studiów zdarzyło się, że w Bagamoyo i całej okolicy wybuchła ospa, zabierając wiele ofiar. Wolno mi było chorych pielęgnować, pouczać i w nagłych razach chrzcić. Trwało to całe trzy lata. Polubiłem bardzo zawód nauczycielski i postanowiłem poświęcić się zupełnie nauczaniu młodzieży. W ten sposób stałem się pomocnikiem misjonarzy.

Na tym skończył Franswa swoje opowiadanie. Spytałam jeszcze, czy nigdy nie miał wiadomości o rodzicach lub rodzeństwie. Ze smutkiem odrzekł, że nic o nich nie wie i że obawia się, czy nie wpadli w ręce arabskich handlarzy niewolników, którzy grasowali w całej okolicy.

Franswa to prawdziwy wzór ofiarnego życia; niestrudzenie pomaga on misjonarzom. Wszyscy kochają go i cenią, przede wszystkim dla jego skromności i pogodnego usposobienia.

Skuteczna modlitwa trędowatych dzieci

Siostra *Eutropia,* benedyktynka z Peramiho.



W pobliżu naszej misji znajduje się przytułek dla trędowatych w Morogoro. Siostra Amelia chodzi tam codziennie, aby pielęgnować trędowatych biedaków. Nie umie ona jeździć na rowerze, jak jej poprzedniczka, zmuszona jest więc, gdy jej się nie uda zabrać się z kim, odbyć ten całogodzinny marsz tam i z powrotem pieszo. Tę codzienną ofiarę umieją nasi chorzy ocenić. Dziś długo patrzą za odchodzącą Siostrą.

„Dzieci, pośpieszcie do kościoła i pomódlcie się za naszą dobrą Mamę, aby czuwał nad nią Bóg i jej Anioł Stróż!“ zawołał nauczyciel, dotknięty również trądem, do kilkorga stojących nad drogą dzieci. Siostra wstępuje także jeszcze z pośpiechem przez zakrystię, aby polecić się opiece Bożej. Spoza zasłony słyszy, jak malcy mówią: „Za to, aby Bóg strzegł naszą kochaną Mamę: Ojcze nasz... Zdrowaś Maryo... Chwała Ojcu... Amen!“

„To chyba już wystarczy!“ oświadcza któreś z powagą i zadowoleni ze siebie biegną z powrotem do swojej zabawy. A Bóg dobry przyjął tę modlitwę maluczkich... „Spiesz się Mamo, w okolicy są lwy. Dzisiejszej nocy tam naprzeciwko kilka krów padło ich ofiarą. A słońce ma się już ku zachodowi!“ Taka przestroga doszła jeszcze do uszu oddalającej się Siostry.

Siostra idzie odważnie. Jest sama, ale to przecież dopiero 4 godzina.

Posuwa się raźno może dziesięć minut. Po obu stronach step. Wtem słyszy w wysokiej trawie obok drogi głośne mruczenie i szelest. Zwraca głowę w tym kierunku, a tu groźny pomruk odzywa się ponownie i potężny żółtobrązowy drapieżnik wysuwa się z zarośli.

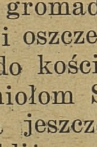
„Maryjo święta, ratuj!“ woła Siostra, ściąga z głowy swój wielki biały kapelusz i macha nim w stronę lwa. Cóż się dzieje? Zwierzę potężnym susem wpadło na środek drogi może o pięć kroków od Siostry i drugim skokiem zapadło w trawę po drugiej stronie drogi. Biedną Sio-



Siostry jako pielęgniarki.

strę ogarnęła niemoc. Przewróciwszy się leżała bez sił, aż Boska Opatrzność zesłała jej ratunek. Przejeżdżający samochód misyjny zabrał ją na pół nieprzytomną z przerażenia. A nasi mali trędowaci tacy byli dumni, że ich modlitwa okazała się taka skuteczna. Wierzyli bowiem niezachwianie, że tylko to ochroniło ich dobrą Mamę od pazurów lwa. Starsi zaś byli zdania, że na tym miejscu, gdzie odbyło się to straszliwe spotkanie, należy postawić duży krzyż na pamiątkę tego cudownego ocalenia. Siostra Amelia, ile razy idzie tą drogą, dziękuje Panu Bogu i Matce Najświętszej za uratowanie jej z tak groźnego niebezpieczeństwa.

Teraz już nie wraca Siostra nigdy sama. Odprowadza ją zawsze gromada dzieci i dorosłych uzbrojonych w kije i oszczepy. Zanim wyruszą, wstępują wszyscy do kościółka i polecają się Bogu i świętym Aniołom Stróżom. Owa przygoda z lwem miała jeszcze wcale przyjemne zakończenie. W najbliższą noc, po owym spotkaniu, lew zagryzł sześć krów. Trzy uniósł ze sobą, resztę wydarli mu krajowcy, którzy stali na czatach. Część mięsa za wstawieniem się Siostry oddano biednym, tak że na zakończenie odbyła się wielka uczta, a mięso uważają sobie Murzyni za największy specjał.



Na intencję prenumeratorów i dobroczyńców odprawiają Biskupi misyjni i Misjonarze afrykańscy około 500 mszy św. rocznie.



Z sierocińca w Kabana w Abisynii

Siostra *Amelia*, franciszkanka.

W naszej nowej misji urządziłyśmy obok kaplicy maleńki sierociniec. Kosztowało nas to niemało trudu, ale zarazem przyniosło dużo radości. Już troje dzieci otrzymało chrzest św., a pięcioro przystąpiło do I komunii św.. Jednego chłopczyka nie chciałyśmy jeszcze dopuścić do chrztu, bo wydawał się niedość przygotowany i to z winy ojca. Ale zajął się nim wuj, który wychowywał się w seminarium w Harar, i oświadczył, przyprowadziwszy do nas chłopca, że malec „musi zostać księdzem!“ Czy spełni się to życzenie, nie wiadomo. To pewna, że Marek zmienił się po chrzcie bardzo na korzyść. W kaplicy modli się skupiony z pięknie złożonymi rączkami, gdy dawniej stale wszystkim przeszkadzał. Podczas nauki katechizmu i czytania był niesforny, a teraz stał się z niego pilny uczeń.

Dotąd nie wyhodowałyśmy jeszcze żadnej duszy na wyłączną służbę Bogu, mamy wszakże tę słodką nadzieję, że z czasem nadejdzie dzień żniwa, i ta ufność krzepi nas i podtrzymuje w codziennym upaleniu i trudzie.

Niefortunny koncert

Opow. ks. Biskup *Morin*, ojciec biały, wikariusz apost. w Nawrongo.

W jednym z ośrodków misyjnych 500 dorosłych miało otrzymać chrzest św. Ojcowie poprosili więc kilku konfratrów do pomocy. Ceremonie dokonywane przez 8 kapłanów trwały całe pięć godzin.

Nazajutrz przyszła kolej na 160 dzieci z owych nowoochrzczonych rodzin. Ojcowie podzielili tych maleńkich kandydatów na sześć grup. Ceremonie św. wcale nie przypadły do gustu trzyletniemu smykowi, najokazalszemu z tej gromady. Zdjęty przerażeniem zaczął



„Nie krzyczże tak!“

więc krzyczeć, wrzeszczeć z całej siły i wywijać się jak piskorz, chcący wyślizgnąć się z sieci, a że płacz wśród dzieci jest zaraźliwy, sąsiedzi rozkrzyczanego malca zaczęli go naśladować i wkrótce małe bractwo krzyczało na całe gardło. Zrobił się straszny wrzask w kościele, można było sądzić, że dokonywa się nowa rzeź niewiniątek. Rodzice, krewni i chrzestni neofitów w swej gorliwości byli zgorszeni takimi krzykami w świętym miejscu i dokładali wszelkich starań, aby dzieci uciszyć. Jedni przyciskali i tulili do siebie swego malca, aby go uspokoić, inni huśtali i potrząsali, niektórzy nawet uciekali się do bicia, co oczywiście przerażało małych winowajców jeszcze więcej i pobudzało ich tylko do tym głośniejszego płaczu. Biedni misjonarze musieli dokonać świętych ceremonii wśród takiego niefortunnego koncertu! Oświadczyli też następnie, że zmordowało ich to więcej niż wczorajszy pięciogodzinny chrzest pięciuset dorosłych.

Jak Murzyni obchodzą imieniny

O. *Mors*, ojciec biały, misjonarz z Bukoby.



Ochrzczeni Murzyni obchodzą swoje imieniny bardzo solennie. W wilię albo z rana w tymże dniu przystępują do sakramentów św. i biorą udział we mszy św.. Ci, których stać na to, dają ofiarę na osobną mszę św. na ich intencję, aby uprosić sobie łaski z nieba. Co niedzielę na sumie ogłasza się patronów na cały następny tydzień, co znakomicie dopomaga pamięci, A nadto jeszcze, by misjonarze nie zapomnieli czasem imion swych parafian, solenizanci zjawiają się w kościele z kwiatami w ręku i dopraszają się obrazka swego patrona albo medalika.

W każdej stacji misyjnej chrześcijanie święcą przede wszystkim imieniny O. Superiora. Mają wtenczas sposobność okazania swej wdzięczności i przywiązania. Zakonnice tubylcze i ich wychowanki dołączają do życzeń okazy swej sztuki i pracowitości np. maty plecione z łyka palmowego w kilku kolorach, przeznaczone do kościoła. Prezent to bardzo użyteczny i zawsze mile witany. Inni ofiarowują przedmioty mniej cenne, ale zawsze świadczące o ich dobrej woli i zręczności. Dzieci śpiewają i mówią krótkie wierszowane powinszowania, albo też przychodzą z tam-tam i przy tym akompaniamencie wykonują piękne tańce. Młodzież układa zwykle bogaty program. Kilka miesięcy przedtem ćwiczy się w grze na flecie i na rogu. Grupy gimnastyczne maszerują pod sztandarem Chrystusowym, poprzedzane przez dwóch

doboszów. Powinszowaniom towarzyszą bardzo udatne produkcje, urozmaicające całą uroczystość. Ojciec Superior odwdzięcza się zwykle za to, dając im dzień wolny, na co naprawdę zasłużyli.

Imieniny innych misjonarzy obchodzi się tylko w obrębie rodziny zakonnej w zaciszu misji.

Zagadka

W miejsce kropek wstawić litery. Środkowe litery nowo utworzonych wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą imię jednego z apostołów.

.	1)	Spółgoska
.	2)	Rzeka
.	3)	Kraj
. . . .	4)	?
.	5)	Student seminarium duchownego
.	6)	Owad
.	7)	Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA z Nr. 9:

Narcyz, lewkonia, pelargonia.

ODPUST ZUPEŁNY,

którego pod zwykłymi warunkami dostąpić mogą członkowie i zelatorzy Sodalicji św. Piotra Klawera, a więc i członkowie „Ligi dzieci dla Afryki“:

15 października w dzień św. Teresy;

28 października w dzień ŚŚ. Szymona i Judy ap.

Redaktor odpowiedzialny Maria Kopińska, Kraków.
Nakładem i drukiem Sodalicji św. Piotra Klawera w Krośnie,

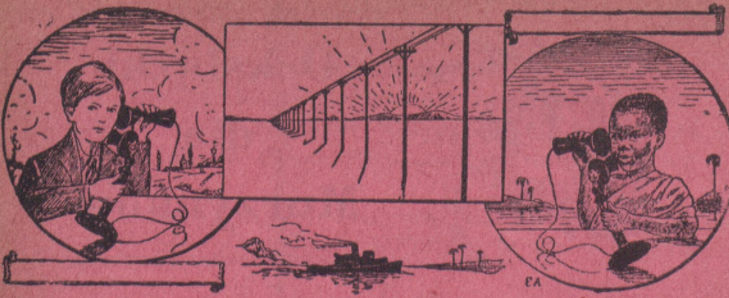


O książki dla Murzynków

Sodalicja Klaweriańska drukuje katechizmy, książki do nabożeństwa, śpiewniki kościelne i t. p w rozmaitych językach murzyńskich i wysyła je następnie do misji afrykańskich. Wszystkie te książki ułożyli sami misjonarze wśród ciężkich prac swego apostolskiego zawodu. Ich zdaniem książka, to cichy apostoł dla dusz, którym się oni poświęcają, a dla których Pan Jezus cierpiał i przelał Krew Swoją tak, jak i za nas.

Sodalicja dostarcza misjonarzom tych książek, ale liczy na ofiary osób szlachetnych, by mogła kupić niezbędne do tego materiały, jak papier, farby itp. Czy nie zechcecie, drodzy Czytelnicy, przyjść jej ze swą choćby niewielką pomocą? Ofiarką w kwocie 1.50 zł. możecie opłacić koszta afrykańskiego katechizmu, książki do nabożeństwa lub do czytania. Do wyboru przeto dla waszego serca, dla waszej dobrej woli!... Prześlijcie na ten cel ofiarkę do Sodalicji św. Piotra Klawera (adresy na drugiej stronie okładki), a przyślijcie ją jak najprędzej. „Dwa razy daje, kto prędko daje“.

A Pan Jezus stokrotnie zapłaci!



Hallo!... Hallo!...

Cóż tam nowego?....

„Kalendarz św. Piotra Klawera"
i
„Kalendarzyk misyjny"
co dopiero wyszły z druku, kosztują oba tylko 75 gr.

Dobrze, dobrze, zamawiam zaraz, jeden dla siebie, drugi na podarek dla przyjaciela.

Do nabycia pod adresami na 2 strony okładki.

Nie do kosza!

Szkoda rzucać do kosza koperty ze znaczkami! — Każdy znaczek to przecież maleńki pomocnik misjonarzy — każdy może pomnożyć fundusze misyjne!

Dlatego prosimy wycinać z kopert zużyte znaczki (zostawiając zawsze dość szeroki brzeg wokoło) i zbierać je skrzętnie. Zachęcajmy do tego również naszych przyjaciół i znajomych.

Uskładane znaczki prosimy wysłać — jako próbki — (wielkie ilości jako paczkę) do którejkolwiek filii Sodalicji. (Adresy na 2. str. okładki).